№ 50. Warszawa, dnia 29 Listopada (11 Grudnia) 1878 r. Rok XIII.—Tom XIV.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60, kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.
Ekspedycya główna w księgarni wydawcy Ulica Nowy-Świat Nr 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 20.

FELIKS ANTONI DUPANLOUP

(Biskup Orleański).

(Dalszy ciąg).

Praca, z zamiłowaniem i przejęciem się nią spełniana, ma tę moc, że otwiera nam głębie przedmiotów i szranki działania naszego coraz rozszerza. Tak pracował ksiądz Dupanloup; napisawszy dzieło swe: *O wychowaniu*, zwraca się do rodziny, do kobiety, jako do gruntu, na którem wychowanie polega i pisze: *Małżeństwo chrześcijańskie*, *Dziecko*, *Kobieta naukowa*. W czasach, gdy duch wieku woła dla kobiety o światło, o wolność nauki i pracy, a z drugiej strony społeczeństwo zaniepokojone lęka się: azali kobieta oderwana w ten sposób od dawnej działania swego podstawy, nie zbiegnie z tradycyjnego stanowiska małżonki i matki? ostatnia z wymienionych prac była koniecznem ich zaokrągleniem — dopełnieniem, dającem całości skończoność, która w tego rodzaju przedmiotach o prawdziwej użyteczności podjętej pracy stanowi, bo nie zostawia umysłu czytelników w stanie pół przekonań, nie pozwala wciskać się wątpliwościom i przeczeń bez odpowiedzi nie zostawia. Moralista tak tylko pisać powinien i tak też pisze ksiądz Dupanloup. *Małżeństwo chrześcijańskie* jest niby utwierdzeniem podstawy dla całości; wykazując moralne znaczenie tego związku, jego charakter sakramentalny, cel społeczny i wynikające ztąd podniesienie kobiety, jakiego nie znało pogaństwo, autor wykreśla zaraz stanowisko, jakie w nim zająć powinno to dwoje ludzi, połączonych ze sobą dla utworzenia nowego ogniska domowego. Mąż jest tu głową i naczelnikiem, ale żona to „towarzyszka podobna mu“ pomoc jego na ziemi, i trzeba wzajemnego ich dopełniania się, połączenia przymiotów właściwych każdemu z nich, aby dom człowieka był czemś więcej niż prostą uchroną przed naciskiem przeciwności zzewnątrz bijących, prostą zagrodą, dla zachowania materyalnego dobytku wzniesioną. Hoduje się tu ludzkość, bo chowa się tu człowiek, rośnie dziecko, dla którego wyrobienia się, ukształtowania w dobrą i szlachetną osobistość, potrzeba jest koniecznie małżeństwu takiego charakteru, jaki mu nadaje związek ugruntowany na podniosłej zasadzie idei chrześcijańskiej. Cel to małżeństwa wysoki; autor też przedewszystkiem w niego zapatrzony, popełnia odnośnie do traktowanego przedmiotu błąd ważny, że zostawia na boku wszystkie, w rozwoju małżeńskiego stosunku powstałe obowiązki tak męża i żony względem siebie, jak ich obojga względem innych, dalszej rodziny i społeczeństwa, kraju, wśród którego żyją. Pomijając to, czem ognisko domowe każdej pary ludzkiej powinno być w stosunku do ogółu swojego, widzi tu głównie i niemal jedynie rodziców dziecka. Ojciec i matka w połączeniu usiłowań wspólnych; matka niezastąpiona przez nikogo w pewnych obowiązkach nietylko wychowania pierwotnego, ale i tych wszystkich oddziaływań serdecznych, które są wpływem uczucia na uczucie; prawa rodziców, którym ulegając, których świętość uznając, dziecko kształci się moralnie; obowiązki rodziców, które im nakazują dla tego dziecka pracować i ofiary ponosić — oto przedmiot tak *Małżeństwa chrześcijańskiego*, jak i *Dziecka*. Możnaby też powiedzieć, że są to przyczynki do głównego dzieła, dalszy ciąg rzeczy: *O wychowaniu;* jeżeli zatem w *Małżeństwie chrześcijańskiem* pojęcie i opracowanie przedmiotu jest jednostronnem, jeżeli książka nie odpowiada wszystkiemu, czego czytelnik w niej według tytułu szuka i znaleźć ma prawo, brak ten wychodzi niemal na zaletę, skoro raz takie a nie inne stanowisko książce przyznamy: skoro zatytułujemy ją sobie: *Rodzice chrześcijańscy*. Książka, jako taka, posiada zalety wielkie; napisana na podstawie wysokich na życie poglądów, żąda od rodziców bardzo wiele, ale też niemniej oddawać im każe, i razem staje się to już nie surowością bezwzględnego moralisty, nie prawem drakońskiego na naturę ludzką nacisku, ale górnem wyznaczeniem torów życia, górnem obowiązków jego pojęciem. Przytem wielki udział, jaki w sprawach rodzinnych autor przyznaje sercu, wielkość ofiary ze strony rodzicielskiej zmniejsza i twardy, ciężki charakter poświęceniu rodziców odejmuje. Danem, z góry postawionem, jest to, że kochają; daje im się więc tylko wskazówki, rady, aby umieli kochać dobrze, aby umieli kochać opatrznie, przewidująco. Miłość najwyższa, to ich powinność i skłonność serca naturalna: miłość, która nic nie szczędzi, nie cofa się przed trudem, troską, poświęceniem czasu i egoistycznego używania życia; ale drugostronnie miłość ta powinna mieć podniosłość i dostojność odpowiednią, powinna być chrześcijańską, nie pogańską; być rozumną i silną, dobroczynną dla dziecka w skutkach swoich. Bóg ma w sobie trzy wielkie i święte przymioty, stanowiące właśnie treść boskości: potęgę, mądrość i miłość. Otóż — pisze ksiądz Dupanloup— „wszystkie te przymioty boskie znaleźć się powinny przy ognisku rodzinnem i być wobec dziecka reprezentowanemi przez ojca i matkę, być w nich jakoby wcielonemi“.

Rodzice tak kochający jak bóstwo, nie mogą już być rodzicami słabemi—i bardzo ważną część książki stanowią te rady, jak rodzice dla szczęścia właśnie dzieci: najpierw dla wyrobienia ich moralnego, następnie dla nieobarczania ich dusz niewdzięcznością, powinni wysoko majestat swój wobec nich stawiać i nie pozbawiać się nigdy na korzyść swobody dziecka tej dostojności, która rodziców zawsze zdobić powinna, — być zawsze w oczach dziecinnych powagą i wyższością, nigdy do takiego zaparcia się dla rzekomego dobra dzieci nie dochodzić, aby osobistość ich zmazaną wobec osobistości dziecka została. Wychowanie nowo-

czesne grzeszy często przeciw tym zasadom zbawiennie rozumnym, przeciw temu ideałowi rodzicielstwa, któreby potrafiło zawrzeć w sobie: potęgę, mądrość i miłość. Młode pokolenia kochane są dziś i chowane miękko; władza rodzicielska nie umie w młodocianym wieku dzieci swoich dzierżyć mocno berła powagi rodzicielskiej, i dlatego z chwilą uniezależnienia się materyalnego dzieci od rodziców powaga ta znika. Złym rysem naszej epoki nazywa autor wzgardę przeszłości, wzgardę starości, cześć młodości, jutra, tego, co nastąpi, aby zastąpić to, co było, co przygotowało podstawę naszego bytu, co jest gruntem, na którym przyszłość wzrasta. Czyżby to nie był tedy wiek niewdzięczności, wiek, który strząsa z siebie więzy zobowiązań, długów zaciągniętych? Aby ich nie płacić, nie uznaje ich!...

Ksiądz Dupanloup powołuje się na świadectwo Guizota, który jako minister oświecenia publicznego przez lata długie mógł dojść pod tym względem do znajomości rzeczy niepowierzchownej, i przytacza smutne jego zeznania: „Należy mi tu mówić prawdę, prawdę o wszystkiem, nawet o wnętrzach rodzin i wpływie ich na wychowanie. Otóż, co do mnie, nie cofnę się przed tem zdaniem, że obyczaje rodzinne są słabe i miękkie (faibles et molles), że władza ojcowska nie działa w przedmiotach wychowania z całą energią, jakiej wychowanie owo potrzebowałoby właśnie. Wynoszę to przekonanie z osobistego doświadczenia, że słabość w układzie życia rodzinnego jest dziś rzeczywistą przeszkodą w przeprowadzaniu wychowania publicznego. Tak: powaga ojca nie wywiera dziś w rodzinach i w wychowaniu dzieci tego zbawiennego wpływu, jaki posiadała niegdyś, gdy obyczaje były silniej ugruntowane, pojęcia mocniej ustalone“.

Ten-to brak siły, tęgości w rodzicach, ten brak: *des idées plus arrêtées*, sprowadza według dalszych dowodzeń Guizota, rozluźnienie węzłów, które najmocniej wiązać powinny. Obniża on szacunek dzieci dla rodziców; obniża z kolei cześć dla ducha ognisk domowych, czyni młodzież niekarną wobec pojęcia obowiązku, do którego się nie poczuwa, którego nie uznaje jako rządzącego nią prawa. Oskarża on o to zawsze obyczaje rodzinne: chwiejność idei wychowawczych, brak karności rodzicielskiej, za wielkie rozwielmożenie się dziecka w rodzinie, za wielkie uleganie mu rodziców.

Autor żąda też surowości, tęgości, dzielności wyższej nietylko w moralnem, ale i fizycznem wychowaniu. Mięknie w niem nazbyt dziecko, mięknie więc człowiek i w następstwie siła—siła charakteru, siła ciała zdrowego, w którem mieszka wtedy duch zdrowy, przepada. A przecież jestto podstawa dla wszystkich cnót wyższych, bohaterskich, bo siły potrzeba męztwu, wytrwałości ofierze wszelakiej. Człowiek nieposiadający siły ducha, to człowiek nie mający woli własnej, bo traci ją wobec wszelkiego działania mocniejszego, wszelkiego nacisku. Spojrzawszy w przyszłość takich pokoleń bezsilnych uczuwa się trwogę mimowolną, dreszcz bolesny: co poczną wobec prób życia rzesze słabych?

Czy nie będzie trzeba z latarką Dyogenesową szukać człowieka? czy nie będzie trzeba wołać głosem rozpaczy:—Nie mamy ludzi! nie mamy ludzi!...

Ksiądz Dupanloup przytacza ze swego znowu doświadczenia nauczycielskiego, jak matki dzisiejsze nie mają w sobie nic cnoty spartańskiej, jak spuszczają z uwagi stronę moralną, intellektualną wychowania, a rozpadają się nad tem, aby buciki synów wypieszczonych błyszczały świetnie, aby suknie ich nie wydały się, broń Boże! zniszczonemi.

A przecież mimo to wpływ domowego ogniska, wpływ rodzinnego domu, rodziców, rodzeństwa, ceni on w oddziaływaniu jego na dziecko tak wysoko, że jak pisze, przez dziesięć lat przełożeństwa swego nad zakładem naukowym nieraz wydalił ztamtąd dziecko niepoprawne, ale ani razu—ani jednego razu nie pozbawił go za karę złego postępowania w szkole, możności przepędzenia dnia pod dachem rodzinnym, obok ojca, obok matki. Ważnemi są tu uwagi, jak rodzice dzieci oddanych z domu, powinni mimo oddalenia troskliwie zbierać wiadomości o postępie ich w naukach, w moralności, jak nie należy im zrywać nigdy tej nici wychowania rodzicielskiego, która zadzierzgnięta z pierwszym dniem życia dziecka, przeciągnąć się powinna aż do chwili pełnoletności, dojrzałości zupełnej. Może to istnieć mimo konieczności oddania dziecka z domu, może się prowadzić przez korrespondencyę. We wspomnianym zakładzie, którego przełożonym był autor, dzieci miały w każdą niedzielę czas zostawiony na to: aby pisać do rodziców, rodzicom zaś stawianem to było jako życzenie wagi wielkiej, aby dzieci podobnież co tydzień odbierały listy z domu. Skoro matka, ojciec umieją nadać korrespondencyi takiej charakter należyty, skoro to nie będzie zdawkową monetą sentymentalnych nicości, skoro nie ograniczy się do objawów troskliwości lichej o rzeczy małego znaczenia, może to stanowić wychowanie rodzicielskie, prowadzone przez przestrzenie, i mimo tych przestrzeni wywierające swój wpływ, utrzymujące go nieprzerwanie.

Ale trzeba na to, aby rodzice umieli być rodzicami rozumnymi, chcieli być dobrymi rodzicami.

Wczesne oddawanie dzieci z domu uważa autor rodzicom za winę, niemal za przestępstwo względem dziecka. Ale mówi o tem obszerniej w książce swej innej i wrócimy jeszcze do poglądów jego na to w *Kobiecie naukowej*.

Do ciekawie nauczających rzeczy należą licznie zgromadzone przez autora cytaty z pisarzów starożytnych, cytaty dające nam pojęcie o idei wychowawczej Greków i Rzymian. Jest tam: Platon, Plutarch, Krates, Pliniusz, Tacyt, Cyceron, Kwintylian i kilku innych jeszcze. Ksiądz Dupanloup przytacza ich i wykazuje, że jeżeli ludzkość tak wysoko, tak szlachetnie pojmowała dzieło wychowania blisko na dwa tysiące lat temu, jeżeli je tak pojmowano w społeczeństwie pogańskiem: jakąż doniosłość, jakąż ważność powinno ono mieć w oczach rodziców chrześcijańskich, w społeczeństwie wyżej umoralnionem!? To, co Platon, Pliniusz i Plutarch piszą o wyborze nauczycieli, co Platon i Tacyt mówią o ostatniej i najważniejszej chwili wychowania o „wielkiej nauce ludzi, czasów i rzeczy“ jest tak mądrem, tak wysoce w szlachetnych swych poglądach dostojnem, że zdaniem autora wiele rodziców dzisiejszych nie umie się wznieść umysłem do tak rozumnych myśli. Ksiądz Dupanloup dla pożytku rodziców dzisiejszych podnosi od starożytnych zaczerpniętą radę, aby w chwili wychowania ostatniej, gdy młodzian czuje w sobie rozbudzenie siły już męzkiej i pierwsze jej porywy do czynu, ruchu, do życia na własną rękę, wskazali mu wysokie cele działalności obywatelskiej, zwrócili wzrok jego na dzieła bohaterów, na szerokie drogi wielkich dążności ludzkich. Tak skierowany popęd młodego zapału, nie da mu zejść nizko, nie da mu zbłądzić wśród krętych i zacieśnionych ścieżek poziomego świata.

(Dokończenie nastąpi).

ŚWIATEŁKA W CIEMNYM KRAJU

Nowella

przez

Sygurda Wiśniowskiego.

(Dalszy ciąg).

— Bell musi wiedzieć więcej o nim niż ktokolwiek inny. Przeglądając jego papiery, znalazłem mnóstwo gazet australskich i europejskich. W nich wyczytałem ogłoszenia, ofiarowujące nagrodę osobie, któreby przysłała Buselowi adres „szanownego“ Edwarda Langtona. Znalazłem także listy odpowiadające na te odezwy. Ze wszystkiego widzę, że Bell wierzy, iż spadkobierca się znajdzie.

— Zkądżeż, do tysiąca wichrów! upodobał sobie ten dyabelski korsarz jakiegoś tam obcego... Langtona, jeżeli się nie mylę?—pytał oficer, którego także zajęło dziwaczne postanowienie konającego,—wszak starzec ma krewnych. Dlaczego ich wydziedziczył?

— *Szanowny* Langton, *szanowny*,—mój porucznik—poprawiał go doktor, który sam był przed laty posłem z jakiejś gminy australskiej i nie mógł ścierpieć, aby w rozmowie o równym mu dygnitarzu pomijano jedyny tytuł, jakim niektórzy Australczycy wyróżniają się zpośród ogółu.

— Niech będzie *szanowny*, a co lepiej, bogaty, jeżeli się sprawdzą twoje domysły o fortunie, która mu spadnie ni ztąd, ni z owąd, z krzywdą krewnych Bella.

— Bell ma tylko jednego krewnego, porucznika... bratańca—wtrącił Busel.

— Bardzo zacnego chłopca, którego nienawidził właśnie z powodu jego uczciwości.

— A...tego bratańca nienawidzi nad wszystkich—dodał lekarz. Przypisuje mu swoje nieszczęścia. Chytry, stary lis nie przyznał się wręcz do niczego nawet na śmiertelnem łożu, ale dał mi do zrozumienia, że nieoględność tego bratańca rzuciła na jego dom pierwsze podejrzenie, które skończyło się waszą wizytą.

— Co się tycze szanownego Langtona — prawił dalej lekarz—Bell miał słuszne powody do wdzięczności, a nieznając nikogo stosowniejszego...

— Jego wybrał... rozumiem—rzekł porucznik.—Znałeś go, doktorze?

— Z opinii publicznej... Nie byłem w Edenie za jego czasów; praktykowałem wówczas w innej stronie kraju. Gdy zasiadałem w izbie, mówiono często o nim. Był to meteor, zjawił się na parę kadencyj i znikł. Młodzik, rodzaj samouczka, typ widywany tylko w kolonialnem, a zwłaszcza w górniczem społeczeństwie, którego traf obdarzył mieniem, a połykanie książek w sposób chaotyczny i obcowanie z ludźmi oswoiło z wiedzą i ogładziło. Typ ten nie posiada ani stateczności, ani równowagi umysłowej. Po wszystkiemu, czego tu doznał pojechał jeszcze do Europy szukać szczęścia. Zapewnie skończył, jak zwykle kończą ludzie podobnego usposobienia... był wielkim człowiekiem w Gulfie, a sprytnym młodzieńcem w Sydney. Teraz prawdopodobnie wiedzie mu się źle w Europie—ciągnął dalej lekarz — więc milczy i przepadł bez wieści. Być może, że w istocie powrócił do Australii zruinowany i zrozpaczony i ukrywa się ze wstydu przed dawnymi znajomymi. Jeżeli taki los spotkał Langtona, żal mi go. Musiał on być coś więcej wart od zwykłej australskiej młodzieży, skoro stanął tak wcześnie tam, gdzie już był, i kusił się o więcej. Jego powodzenie w parlamencie w Sydney—dodał lekarz pompatycznie—było zadziwiające, hem, fenomenalne. Wiem z doświadczenia, że niełatwo zostać *primus inter pares*.

— Niech go licho weźmie!—mruknął kupiec, nie mogąc znieść pochwał, udzielanych człowiekowi, którego nie znał wprawdzie, ale do którego czuł żal żywy, bo ostatnia wola starego Bella, obdarzając Langtona stacyą, dla której Busel przeznaczał innych właścicieli, skrzyżowała długo żywione nadzieje.—Człowiek co nie umiał własnem rządzić, zmarnuje darowiznę — dodał. — Nie przysądzajmy mu jej zresztą, póki się nie okaże, czy żyje. A może się wcale nie zjawi....

— Ej, zjawi się—rzekł lekarz — Ludzie nie chowają się przed takiemi spadkami.

Być może, iż p. Busel podzielał tą pewność, albowiem przeniósł się do komórki pod werandą, w której jasne, niewieście suknie świeciły przez szpary. Zamknąwszy drzwi, wdał się tam w cichą, bardzo długą rozmowę ze swą córką, Gracyą Busel.

Mężczyzna, co stał był we drzwiach, wyszedł na świeże powietrze, zataczając się jak pijany, z głową spuszczoną, z zapłonioną twarzą. Musiał minąć cedrowe drzewo, gdyż tamtędy szła jedyna ścieżka ze sklepu do wioski. Zboczywszy z niej nieco w prawo lub w lewo, możnaby wpaść do dwudziestosążniowego szybu, i to tem łatwiej, że burzany rosnące na krawędziach owej studni zakrywały ją oku. W takim szybie rozstał się już niejeden z życiem, jeśli ciemną nocą przechodził koło niego w stanie nietrzeźwym.

Niepowróciwszy jeszcze do swej normalnej obojętności, mieszkańcy Gulfu przesiadywali częściej pod cedrem, niż wypadało przesiadywać biednym górnikom. Tym razem zgromadziła wszystkich wiadomość o nieochybnej śmierci Bella i dziwnym testamencie. Dokument ten był pisany wobec kilku świadków, a co doktor powiedział porucznikowi, to jeden z majtków powtórzył był przed chwilą na zebraniu pod drzewem.

— He! he! zrobił testament; zapisał stacyę Lang-

tonowi—gderał Rekin.—Nicponie zawsze miewają szczęście. Na tej stacyi wypasa się z górą trzy tysiące bydła rogatego, koni nieliczące, a same rasy poprawne; każda sztuka warta najmniej pół uncyi złota. A teraz dom, płoty, grunta.

— A wory gotówki w bankach w Sydney?—dodał inny.—Głupstwo bydło! pieniądze grunt. Stary Bell miał ślizgie rzemiosło, ale intratne. Zapewne! usłał sobie ciepłe gniazdo na stare lata.

— Musi mieć pieniądze—zapewniał żeglarz, którego opowiadanie dało było powód do rozprawy. Niebardzo wyraźnie on mówił, gdyż w tej chwili włożył do ust pół cygara, które znalazł pod oknem porucznika, i żuł swą prymkę zawzięcie. — Niech mi oczy spuchną, jeżeli ten stary sknera nie mieszkał gorzej od psa kapitańskiego! W domu jego jak u Busela; tylko piwnica wygląda po chrześcijańsku. Ile tam butelek! a wszystko dobry trunek... spróbowaliśmy. Wzdłuż ścian niby w jakim sklepie.... tu same marynaty, sardelki, łososie, tam konfitury, a wszystko w znacznej ilości, i z Europy. Stary dostawał to co miał z pierwszej ręki. Znaleźliśmy pół piwnicy próżnych puszek i butelek. Jeżeli przyjmował złych gości, jak powiadają, przynajmniej poił ich i karmił dobrze.

Słowa majtka wzruszyły boleśnie wszystkich. Towarzystwo złożone z żeglarzy i górników, których część jadała tylko suchary i pekeflejsz, a druga część podpłomyki i chudą baraninę australską, zadumało się nad ponętnym obrazem onej piwnicy.

Jeden z górników wytrząsł fajkę o paznokieć, odkaszlnął i zwrócił rozmowę na pierwotny temat.

— Patrzcie!—Langtonowi jeszcze raz uśmiechnęło się szczęście, a biedny Dawid poszedł pod koła. Są ludzie, którym zawsze się wiedzie, a bywają i tacy, do których licho lgnie jak pijawka. Rzućcie jednego do najpłytszego szybu w kopalni, a zwichnie nogę; inny wpadnie do najgłębszego, i powróci zdrów, z grudą złota jak czapka, którą przyślepiło sto osób, póki on guza nie nabił sobie na niej. Bogu wiadomo, że i Dawid Bell potrzebował pieniędzy.... gdyby chociaż stacyę mu zostawiono..!, Busel nie wpuści go odtąd do domu. Co tam będzie płaczu! — tu mówca zaśmiał się dobrodusznie.

— Prawda! — Busel nie da córki urwiszowi bez szeląga.... on Szkot pełnej krwi i ceni ludzi tylko po trzosie.

— Komuż ją da?—zapytał Rekin poważnie, podzielając ogólny interes w tej sprawie, gdyż ci ludzie podtatusiali, nieposiadający własnych rodzin, zadawali sobie nie po raz pierwszy, zagadkę: kto też się ożeni z jedyną panną na wydaniu w okolicy, w której Dawid Bell był jedynym młodym mężczyzną.

— Musi ją dać Bellowi, jeżeli nie chce starej panny z niej zrobić, albo aż za górami szukać kawalera—dodał Rekin.

— Oho!—odezwał się ktoś cierpko:—Cudze sprawy zawsze wam w głowie. Bardzo proszę, dlaczego-by ją musiał dać Bellowi, który nie ma ani pieniędzy, ani głowy do zrobienia pieniędzy? Ba! Gracya Busel znajdzie męża nie jadąc za góry.

— Zwaryowałeś!—fuknął zagadnięty, obracając się do Rozbitka, któremu wyrwały się z ust powyższe słowa. — Czy tobie doprawdy się roi, że Gracya Busel, duma Gulfu, pójdzie za ciebie, starszego o lat kilkanaście? Bell ma przynajmniej młode, zdrowe ramiona, kawał gruntu i będzie zawsze przystojnym, wesołym chłopcem, chociażby nawet ów Langton przyjechał i zabrał mu spuściznę.

— Kto wie czy tylko spuściznę straci ten wasz zachwalony Bell, jeżeli Langton przyjedzie,—mruczał Rozbitek, rozjątrzony do wysokiego stopnia. Opamiętawszy się po chwili i przybrawszy pozę teatralną dodał:—Zresztą, pamiętaj waść, że imię „damy“ nie powinno być powtarzane na zebraniu mężczyzn, w miejscu publicznem.

— Ha ha! zaczynasz z *pańskiej* beczki, jak zawsze, kiedy chcesz nam pokazać różnicę pomiędzy statecznymi, dawnymi mieszkańcami Gulfu, a człowiekiem z wielkiego świata. Daj temu pokój, bratku, nie zwiedziesz nikogo! Nie dziwimy się też, że Gracya Busel wpadła ci w oko, choćby z wdzięczności. Salomon powiedział, że głębokie wody nie zgaszą miłości.

Rekin posiadał okrom zamiłowania w wódce i sporach, obfity zasób zdań biblijnych, któremi pobijał przeciwników. Wzmianka o Salomonie poskutkowała i w tym razie. Jego przeciwnik zamilkł—zaśmiał się tylko szyderczo i poszedł w swoją drogę.

— Co się stało temu człowiekowi?—pytał Rekin kolegów. — Patrzcie tylko jak on chodzi! Będąc w Sydney, widziałem panów w długich surdutach, co taksamo dreptali. Widzicie, jak trzepie po nogach pręcikiem, rusza rękami, niby kandydat, który przejeżdżał tędy przeszłego roku, i z beczki pod cedrem palnął nam oracyę, żeby dostać dwadzieścia kresek z Gulfu.

Rekina oko nie zawiodło go. Zgarbiony, głupkowaty przywłoka, zmienił zupełnie minę i postawę. Zdawało się, że łachmany wisiały na nim z gracyą płaszcza, którym żebrak hiszpański osłaniał swe członki, gdy w roli podupadłego *caballera* prosi innego *caballera* o jałmużnę. Co dziwniej, Rozbitek darował tegoż samego dnia *parcelę* złotodajną, w której pracował zwykle, najuboższemu górnikowi w Gulfie, zastrzegając sobie tylko parę uncyj złota za narzędzia i urządzenia na szybie. Była to najlepsza parcela w kopalni, dająca skromne ale pewne utrzymanie, a mogła starczyć i na kilka lat. Rozbitek sprowadził na nią wodę i po długiej, mozolnej pracy spożytkował to, czego się inni nie chcieli nawet dotknąć; pomimo, że tylko ich własne lenistwo przeszkodziło im w zajęciu tej parceli przed nim, i exploatowaniu jej w podobny sposób, wszyscy mu jej zazdrościli. Teraz brali mu za złe, że ją porzucił, i pytali siebie: z czego żyć będzie? Rozbitek nie kłopotał się jednak swemi interesami tak dalece, jak jego sąsiedzi, i nieprosząc nikogo o radę, nie wychodził ze swej nory. Mówiono nawet, że go nie było w domu.

IV.

Doktor Hutton, lekarz z Edenu, zasługiwał ze wszech miar na uszanowanie, jakiem cały powiat odpłacał jego uciążliwą pracę. Być może, iż zacny eskulap pragnął mniej czci a więcej pieniędzy—lecz znaczna część mieszkańców jego powiatu nie miewała pieniędzy. Nieraz, po dniu podróży do chorego, musiał zadowolić się podziękowaniem; ale nie pamiętano nigdy, aby doktor Hutton, który bardzo lubił pieniądze, nie chciał odwiedzić ubogiego pacyenta choćby w najdzikszej okolicy. Za to nie omieszkał wyzyskiwać rzadkich sposobności, ile razy zamożny skwatter lub właściciel bogatego szybu potrzebował pomocy lekarskiej. Jego rachunki w takich razach bywały kolosalne. Nie darmo też zacierał ręce w obecnej chwili, i wytrwał jaknajdłużej w Gulfie, póki nie pochowano umarłego i oficer dla braku dowodów nie zaniechał śledztwa przeciwko żywym. Hutton odwiedzał chorego do ostatniej chwili, wiedząc, że spadkobierca musi zapłacić za fatygę, a po jego pogrzebie przedłużał, o ile mógł, śledztwo, biorąc w niem udział jako sędzia pokoju i licząc spore dyety rządowi. Nareszcie, niemając już żadnego pozoru do zostawania w Gulfie, pomyślał o powrocie.

— Nie pamiętam czasów tak złych—mówił do Busela—odkiedy licho zagnało mnie do Edenu. Drugiego takiego kąta niéma na świecie! Nikt tu nie choruje. Ubodzy kończą nagle, z głodu, z pragnienia, na koniu czy w szybie, czy skutkiem galopującej gorączki lub od insolacyi. Nim lekarz nadjedzie już biedaka niéma i nic też po nim nie zostaje. Bogaci żyją jakby posiadali kamień filozoficzny. Mamy w Edenie kilku indyjskich emerytów... cierpieli na sto chronicznych chorób, gdy podawali się o emeryturę i prosili rząd o pozwolenie osiedlenia się w chłodnej części Australii dla poratowania zdrowia. Każdy z nich wprawdzie ma cerę nowego dukata, ale żyją i nie potrzebują lekarza, a rząd dziwi się ich długoletności i przysyła kommissye: czy kto inny nie pobiera pensyi nieboszczyków emerytów? Fatalny kraj dla lekarzy, słowo daję! Nawet jeżeli kto zachoruje w nim, nie idzie do doktora, ale leczy się pigułkami polecanemi w gazetach. Mogę siedzieć teraz w Edenie bez roboty do końca roku. Kto wie: kiedy drugi Bell się nawinie? Muszę już jechać do domu. Poszlij po konia.

Parobek Busela poszedł więc w las, za rzekę, aby odszukać bucefała doktorskiego, gdyż zwyczajem australskim puszczono zwierzę samopas z dzwonkiem u szyi, ufając jego stateczności, że nie oddali się nazbyt od osad ludzkich. Te kilka godzin postanowił lekarz przeczekać w sklepie Busela, gdzie pożegnał się z górnikami, którzy na wieść o wyjeździe ulubionego „doktora“ śpieszyli do karczmy, i podawali mu kolejno swe brudne, szorstkie łapy.

Na twarzy lekarza przebijał się wyraz niecierpliwości podczas tej operacyi, a gdy ostatni gość wyszedł z chaty, p. Hutton dał znak gospodarzowi, że pragnie pomówić z nim samnasam. Busel szepnął coś do swej córki i wymyślił dla niej jakieś zajęcie, dla którego musiała wsiąść na koń i popędzić w las. Ojciec i gość patrzyli za nią, gdy mijała odchodzących górników, którzy na widok jej salutowali, czego nigdy nie czynili przed mężczyzną. Gracya Busel była dla nich istotą nadludzką, jedynym powabnym przedmiotem w ohydnem otoczeniu,—wyjątkowo żywą, moralnie zdrową i wesołą istotą pośród ogólnej melancholii: ich szacunek dla niej nie znał więc granic. Nawet ci, którzy skutkiem zajść handlowych z jej, niezawsze sumiennym, ojcem ganili własne serca, za to, że lgnęły do córki, nie mogli wyszukać w niej błędu, ani zdobyć się na jakąkolwiek krytykę, okrom:

— Szkoda, że nie piękna!

Być może, iż dziewczę zasługiwało na tę krytykę wskutek dziwacznego sposobu życia. Od dosiadania koni — najczęściej po męzku, pomimo zakazów ojca — ruchy jej przybrały męzką rubaszność. Jej cokolwiek ostre rysy szpecił ogromny kapelusz, przypominający krojem nakrycie głowy używane w innych krajach przez siostry miłosierdzia, tylko, że kapelusz Gracyi był jeszcze większym i brzydszym. Jej ręka nie znała nigdy rękawiczki, jej kibić gorsetu: słowem, Gracya nie wyglądała na „damę“; jednak powierzchność jej musiała mieć w sobie coś przyjemnego, jeżeli wolno o tem sądzić z zadowolenia na twarzy poczciwego lekarza, gdy śledził jej zwinne ruchy przy siodłaniu konia, gdy patrzał jak lekko go dosiadała. Pożegnał też odjeżdżającą przyjacielskim uśmiechem, a kupcowi powinszował dochowania się takiej córki.

— Podobno chcesz ją posłać do Sydney?—zapytał lekarz gospodarza znienacka, spoglądając na niego przenikliwie. Ton, w którym powyższe słowa były wymówione—spojrzenie i twarz pytającego dowodziły, iż nie zapytał dla dogodzenia jedynie czczej ciekawości. Lekarz miał coś na sercu, a kupiec zrozumiał, że pod formą lekkiego pytania ukrywała się myśl ważna. Gość i gospodarz należeli do jednej narodowości, znanej z rozwagi: byli Szkotami. Rozmowa więc pomiędzy dwoma potomkami tak ostrożnego plemienia, gdy chodziło o interes poważny, a ich zdania i cele krzyżowały się, przypominała pojedynek pomiędzy bardzo biegłymi fechmistrzami, z których każdy szanuje biegłość swego przeciwnika i lęka się jej. Nareszcie starli się wręcz:

— Tak... hm—mówił Busel—widzisz sam, mój doktorze, że Gulf nie jest odpowiedniem miejscem dla dorosłej dziewczyny. Gracya zdziczeje tu. Mamy krewnych w mieście, którzy dawno chcieli się zająć ogładzeniem jej. A potem... mój kochany doktorze, nie mogę znieść myśli, żeby moja Gracya dostała się jakiemu rubasznemu górnikowi, co nic nie ma, albo drobnemu skwatterowi, u którego więcej długów niż owiec, albo któremu z waszych chłopów w Edenie, który potrzebuje żony na to, aby mu pomagała łamać kukurydzę.

— A mianowicie lękasz się jednego... nieprawda?

— Przypuśćmy, że masz racyę. Nie potrzebuję obwijać niczego w bawełnę. Zakazałem jej widywać się z tym Bellem, odkiedy... odkiedy...

— Od kiedy dowiedziałeś się o treści testamentu jego stryja. Przedtem było inaczej... co?

— Ach, któż mógł przywidzieć, że rzeczy wezmą taki obrót... fatalny obrót!

— Gdybyś był mnie zapytał, byłbym dawno przepowiedział to, co się stało. Pozwól sobie powiedzieć po starej znajomości,—a datuje się ona nie od wczoraj, i nie z tego kraju,—że puściłeś się na grę niebezpieczną, a nie poradziłeś się jedynej osoby, która mogła jej koleje obliczyć... mnie. Ten Bell, poczciwy do gruntu, prawy syn prawego ojca, zmę-

żniał pod mojem okiem; znałem jego stosunki rodzinne; wiedziałem, że między jego ojcem i stryjem zachodziło nieporozumienie. *Upior zatoki Twofold* umiał ukrywać przed światem swoje zajęcie, ale nie uszło ono oczu brata. Wiem, że odkiedy starszy odprzedał młodszemu swój dział w stacyi, nie widywał się z nim, ani wspomniał jego imienia. Był to najpoczciwszy człowiek w świecie...

— Wszystko to pięknie—wtrącił pan Busel niecierpliwie—ale nie zmienia mego widzenia rzeczy. Starszy Bell był najpoczciwszym i najnieprakty-czniejszym z ludzi, a skutkiem prawości, nieoględnych spekulacyj, rzucania się w przedsiębierstwa górnicze, których nie rozumiał i t. d. zruinował się najzupełniej. Mnie się zdaje, że syn przypomina ojca, i prawością i niepraktycznością, i jak teraz nic nie ma, tak też nigdy nic mieć nie będzie.

— Przepraszam—przerwał lekarz zapalając się. Znam chłopca z innej strony. Jest w nim energia, i chęć dobra, a daj mu tylko szczęście... daj mu szczęśliwą sposobność... Nie przeczę jednak—dodał po namyśle — że potrzebuje pomocy, i rady, i oka czujnego. W młodym krew jak ogień, a dopiero jeszcze w naszej australskiej młodzieży, na tej spiekłej ziemi. Nasza młodzież ma coś z ognistości klimatu, z lekkości czystego, eterycznego powietrza, którem oddycha od kolebki. Nadaj tylko dobre przeznaczenie temu ogniowi...

Lekarz pochwycił w swym zapale jedyny guzik, spinający jedyny surdut, który pan Busel posiadał na świątek i piątek (mówiąc nawiasem, była to jedyna szata tego rodzaju w Gulfie, którego demokratyczni mieszkańcy nie znali odzieży, prócz kaftanów flanelowych o krótkich rękawach) i ciągnął kupca ku sobie, zdradzając swą natarczywością, życzliwość dla młodzieńca, którego był samozwańczym rzecznikiem. Dla wytłómaczenia jego zapału dodajemy, że młody Bell był faworytem lekarza przez kilka lat, które ojciec jego przeżył w Edenie, spożywając resztki mienia utraconego w niefortunnych przedsiębierstwach.

— Chcesz, żebym *ja* mu dał tę szczęśliwą sposobność—odparł kupiec tonem niezmiękczonym.—To być nie może, stanowczo nie może. Nie nalegaj na mnie dłużej. Znasz mnie, wiesz jak, kiedy i poco zabłądziłem do tego przeklętego kraju, jakie mam zamiary na przyszłość. Nie potrzebuję ci przypominać, że człowiek z wychowaniem, przyzwyczajony do cywilizacyi, pamiętający inną pozycyę, nie zamknie się tu i nie będzie dorabiał pieniędzy dla—Dawida Bella! Nie podsuwaj-że mi takiego projektu—do stu piorunów!—zawołał, uderzając pięścią o bufet, że aż szklanki i butelki zadzwoniły.—Czyż potrzebuję ci opisywać dolę moją podczas długich lat w tej chacie? Rozejrzyj się po niej, przypomnij sobie, czy zawsze tak miewałem nad głową tylko nagi dach z kory! Oblicz, ile stałości wymagało życie *tu*, wśród tych dwunożnych zwierząt, targowanie się sto razy na dzień o cenę każdej grudki złotej, znoszenie ich przycinków, gdy byli trzeźwi, ich obelg, gdy się upili?

— Wistocie, podziwiałem zawsze twoją wytrwałość. Nie znam nikogo okrom ciebie, któryby odważył się naprawić w ten sposób nieprzezorną młodość.

— Naprawiłem ją... cokolwiek. Nie pracowałem bez zdobycia szczupłej nagrody. Gulf podupadł zresztą do szczętu i nie myślę tu bawić długo. Gdym zaszedł do niego, nie miałem nic, okrom pięciu palców, malutkiej Gracyi i silnych postanowień. Wszyscy podupadali tutaj, dobre czasy stawały się legendą; ale ja musiałem wytrwać, bo nie wiedziałem dokąd pójść dalej, a choćbym wiedział, nie miałem o czem. Jednak wydarłem sobie z tej poszarpanej, wyczerpanej ziemi—starość bezpieczną. Nienawidzono mnie za to; dziwiono się mojemu powodzeniu, wymyślano na mnie od „sknerów“; ale ci, co nienawidzili i wymyślali, lękają się mnie, chociażby dlatego, że nie pojmują przyczyny mego powodzenia. Jestem dla nich maszyną parową, złożoną z woli żelaznej, pożerającą owoce ich pracy; niby węgle, maszyną, z której tajemniczą potęgą nie umieją walczyć. Wszystko robiłem dla *jej* szczęścia!

— A to wszystko nie uszczęśliwi jej rzetelnie, podczas gdy mógłbyś słówkiem...

— Nie i nie... Nie potrafiłbym zabezpieczyć ich losu od wszelkich możebnych wypadków, a nie widzę w Bellu przymiotów, któreby mi dawały rękojmię, że mu się powiedzie w życiu, chociażbym mu dał cokolwiek na skromny początek.

— Tu nie zgadzamy się. Gdyby był odziedziczył stacyę po stryju...

— A, gdyby! W tem „gdyby“ właśnie leży sęk. Nie przeczę, że mógłby zostać wtedy użytecznym, może znakomitym członkiem społeczeństwa. Sprawiłoby to ogromną różnicę w mojem zapatrywaniu się na całą sprawę. Jestem człowiekiem praktycznym... nadewszystko!... Póki sądziłem, że młodzik ma przed sobą widoki niezależności, nie byłem przeciwny jego odwiedzinom. Być może, iż postępowałem nieostrożnie; ale przyjmując go jak stoi, przywiązałbym sobie i Gracyi kamień młyński do szyi—jego ciężar zatopiłby nas. Muszę też naprawić czemprędzej swój błąd i wysłać ztąd dziewczynę poza obręb pokusy i niepokoju... W mieście zapomni, wstydzić się będzie swych wspomnień z pustyni—tych dzikich miłostek.

Nastąpiła chwilowa pauza. Lekarz nie nalegał dłużej, poznawszy siłę postanowienia, które ożywiało kupca. Raptem uderzył się w czoło i zawołał:

— Ale, ale! — zająwszy się młodymi, zapomniałem o najpilniejszym obowiązku. Wiesz, że Upior mianował mnie jednym z wykonawców swej ostatniej woli. Na mnie spoczywa powinność odszukania jego spadkobiercy, lub spadkobierców spadkobiercy.

— Masz wskazówki po temu?

— Niedokładne, bardzo niedokładne. Mówiłem ci, że już starzec rozpoczął był takie poszukiwania. Znalazłem obszerną korrespondencyę, której wynikiem była wiadomość, że osoba nazywająca się Langton, pochodzenia australskiego, opuściła pewien port europejski na okręcie *Dunbar*. Ten sam *Dunbar* rozbił się w tej oto zatoce. Utonięcie szypra i wielu z załogi i podróżnych; zaginienie ksiąg okrętowych i rozproszenie się na wszechstrony tych, którzy ocaleli—nie pozwala powiedzieć stanowczo: czy ów Langton z *Dunbaru* żyje i gdzie się podział? Być może, że nie był tym Langtonem, o którego tu idzie. Pozostaje nam jeno szukać go za pośrednictwem gazet, a gdyby się nie zgłosił w pewnym terminie, zająć się wynalezieniem najbliższych krewnych prawdziwego, „szanownego“ Langtona. Zrobię to z Edenu. Nim wyjadę ztąd jednak chciałbym pomówić z waszym Rozbitkiem. Zauważyłem coś dziwnego w postępowaniu tego człowieka zemną, odkiedy dowiedział się, jaką rolę przyznaczono mi w owym testamencie. Może on znał dziedzica i wie gdzie się obraca? Trzeba go wybadać.

Życzenie lekarza spełniło się bez trudności. Busel zaprowadził go do chatki z kłód skrzyżowanych pod dachem z kory, której umeblowanie kończyło się na nędznych przyrządach górniczych i łożu z trawy i liści na ziemi. Przed drzwiami płonął ogień, a górnik siedział we drzwiach, na kłodzie, załamawszy ręce wkoło kolan. Powitał on gości dość obojętnie i wskazał im siedzenie na drugiej kłodzie, przy ogniu. Lekarz zadał mu kilka pytań, zmierzających wprost do rzeczy. Rozbitek długo na nie odpowiedzi nie dawał.

— Czy nie możesz, czy nie chcesz odpowiedzieć? — rzekł nareszcie lekarz stanowczo — azali pomiędzy osobami na *Dunbarze* nie znałeś niejakiego Langtona? Utonął on czy nie? I jeżeli nie, w którą stronę się udał?

— Exekutorowie zapłacą wspaniale za taką informacyę—wtrącił Busel.—Zależy im na tem, aby wiedzieli: czy mają szukać owego Langtona, czy też jego spadkobierców? Doktor Hutton nie wierzy w to, aby Langton, wymieniony pomiędzy passażerami *Dunbaru*, był tymsamym Langtonem, którego znano w Gulfie. Ludzie charakteru niestałego, ambitni nad miarę zdolności, zmieniający często swe siedlisko, nie żyją długo. Kto wie czy nie wypada szukać prawdziwego Langtona na jakim europejskim cmentarzu, albo w więzieniu za długi, może nawet w domu karnym?

— Doprawdy?—rzekł górnik bardzo cicho i rozśmiał się szyderczo. — Więc myślisz, że Langton umarł lub skończył w kryminale? Ha, ha! Ludzie w jego wieku nie umierają i nie znikają ze świata, póki los trzyma dla nich tuza, w kształcie spuścizny po *Upiorze zatoki Twofold*. O nie! Wasz Langton ma w sobie więcej żywotności niż cała wasza żebracza gromada, i cały przeklęty, zakamieniały Gulf! Nie lękajcie się: znajdzie się on w potrzebie. Róbcie tymczasem swoje: poszlijcie testament do Sydney—niech go sąd potwierdzi; obliczcie spadek i wezwijcie spadkobiercę do wykazania tożsamości osoby i zapłacenia taxy urzędowej!

Lekarz otwierał oczy coraz szerzej i wpatrywał się coraz uważniej w mówiącego. Zanim odpowiedział otworzył usta kilkakrotnie, ale nie mógł przyjść do słowa. Nareszcie zwalczył gwałtowne wzruszenie czy zadziwienie i, kładąc rękę na ramieniu górnika, zapytał:

— Sądzisz więc, że znajdziemy prawdziwego Langtona, gdy go sąd zapotrzebuje...

— Jeżeli sąd wezwie szanownego pana Edwarda Langtona, a testament, wydziedziczający jedynego krewnego, jakiego Algernon Bell posiadał, utrzyma się...

— To nie podlega najmniejszej wątpliwości. Prawa Nowej Południowej Wallii dają najzupełniej testatorowi taką swobodę, z jakiej właśnie skorzystał Bell.

— Wtedy — ciągnął dalej Rozbitek, niezwracając uwagi na przerwę—znajdę waszego człowieka, Huttonie! — Rzekłszy to górnik wstał, obrócił się, schylił do miary poziomych drzwi i, skrzyżowawszy ręce na plecach, znikł w ciemnej chacie.

Lekarz i kupiec siedzieli jeszcze minutę na kłodzie, patrząc w siebie poważnie i wyrażając swoje zdumienie w półsłówkach.

— Ktoby się był spodziewał?—mruczał doktor.

— Na moje szczęście—szeptał kupiec — traktowałem go zawsze bardzo grzecznie. W naszym zawodzie grzeczność nigdy nie zawadzi. Nie odmawiałem mu kredytu w nagłych razach. Cowiększa: Gracyi życie zawdzięcza.

Powróciwszy do chaty, czekali jeszcze długo na zjawienie się parobka, z koniem lekarza. Rozmowa z górnikiem wywarła na nich silne wrażenie. Każdy siedział w milczeniu, snując własny wątek myśli i zamiarów. Gorączkowe ruchy Busela zdradzały, że umysł jego pasował się z ważnem zadaniem. Zobaczmy tymczasem, co porabiała Gracya Busel, w puszczy, dokąd nagie pagórki kopalni nie sięgały, a rosło morze zieleni, zwane dziewiczym lasem australskim.

(Dalszy ciąg nastąpi).

JESZCZE O KSIĄŻCE JUBILEUSZOWEJ

dla

J. I. Kraszewskiego.

Pod tym tytułem wyłożony był już w N. 18 *Bl.* z r. b. cały projekt wewnętrznego urządzenia książki zbiorowej dla przyszłorocznego Jubilata. Obecnie możemy już podać czytelnikom naszym wiadomość dokładną o postępie pracy mającej projekt pomieniony urzeczywistnić. Postęp ten jest już znacznym, i bez wielkiego optymizmu można wyrazić tę nadzieję, iż za dwa miesiące najdalej całkowite rękopismo do druku przygotowanem będzie. Niéma już obawy, aby który z ważniejszych oddziałów niewypełnionym pozostał; obawiaćby się raczej można: azali nagromadzić się mający materyał rękopiśmienny pomieści się w 40 arkuszach druku, wskazanych w prospekcie? Z wyjątkiem bardzo niewielu celniejszych pisarzów, jak np. Małeckiego, który z powodu podjęcia wielkiej a pilnej pracy z dziedziny językoznawstwa nic do książki napisać nie może, wszyscy zresztą wezwani powitali serdecznie myśl uczczenia Jubilata zbiorem prac o nim samym i jego dziełach, przyrzekli swe uczestnictwo, i wielu z nich już nawet opracowania swoje, zupełnie już wykończone, nadesłało.

Stan obecny przygotowań do książki zbiorowej da się rozumowo oznaczyć tylko na podstawie ułożonego przez komitet redakcyjny programatu. Odniesienie prac, jakie już są lub niezawodnie będą, do wskazanych tam rubryk dozwoli czytelnikowi wytworzyć sobie dokładny obraz tego, czego

dokonano dla przeprowadzenia książki od pomysłu do rzeczywistości.

Książka, jak wiadomo z programatu, rozpada się na cztery działy: I. Życiorys. II. Ocena działalności literackiej w związku z wydawniczą i drukarską. III. Bibliografia. IV. Artykuły odosobnione o Kraszewskim.

Dział I. Życiorys. Właściwy pracownik, Adam Pług, zbiera materyały i w tym czasie ma się udać do brata Sz. Jubilata, p. Kajetana Kraszewskiego, zamieszkałego w Romanowie, który przyrzekł ciekawe szczegóły z lat dziecięctwa i młodości, oraz ze stosunków rodzinnych i towarzyskich wielkiego pisarza. Zwłoka w przygotowaniu życiorysu nie wpłynie bynajmniej na opóźnienie wydawnictwa; ponieważ bowiem liczbowanie życiorysu będzie odrębnem od liczbowania dalszych działów książki, druk zatem tych ostatnich, a mianowicie II-go, będzie się mógł rozpocząć jeszcze przed dostarczeniem rękopisma do działu I-go. Wszystko tu zależy od pośpiechu, z jakim prowadzić będzie składanie książki drukarnia Ungra, która czynności tej podjęła się bezinteresownie.

Dział II. Działalność literacka. *Oddział I: Powieść*

a) *Obyczajowa.*

Okres I (1831—1839). Pogląd rozumowy na *powieść obyczajową* ma być złączony z rzutem oka na całkowitą działalność i rozwój umysłu Kraszewskiego w tym okresie. Badania już ukończone i na podstawie zebranych materyałów właściwy pracownik, pan Piotr Chmielowski, przygotowuje już rękopismo do druku.

Okres II (1840—1849). Nadesłaną już pracę pani Orzeszkowej komitet redakcyjny przeznaczył do umieszczenia w książce.

Okres III (1850—1855) przeznaczony został, na skutek objawionego życzenia, p. Leonardowi Sowińskiemu.

Okres IV (1856—1860). Pani Marréné pracę swoją już nadesłała.

Okres V (1861—1871) ma być opracowanym przez p. Adama Rzążewskiego.

Okres VI (1872—1878). Pracy podjęli się pp. Dyonizy Henkiel i Edward Lubowski; niezależnie od tego komitet zgłosił się jeszcze do pana Adama Bełcikowskiego w Krakowie.

b) *powieść ludowa.* P. Kazimierz Kaszewski pracę swoją złożył już komitetowi redakcyjnemu; przeznaczono ją do druku.

c) *powieść historyczna:*

1. *Cykl powieści wydawanych obecnie przez Spółkę księgarską.* P. Michał Bobrzyński, professor Uniwersytetu Jagiellońskiego.
2. *Wiek XVI i XVII.* Professor Nehring.
3. *Epoka Sasów.* P. Kazimierz Jarochowski. Praca złożona już komitetowi i przyjęta.
4. *Epoka Stanisławowska.* Pp. Klemens Kantecki i Łoziński.
5. *Czasy Rzymskie.* Pan Tadeusz Korzon; praca już napisana i przyjęta.

Oddział II. Pisma wierszem liryczne i epickie. P. Wincenty Korotyński.

Oddział III. Dramat. Pan Władysław Bogusławski.

Oddział IV. Filozofia. Prof. Henryk Struve. Rozwój pojęć filozoficznych i religijnych Kraszewskiego. Praca złożona już komitetowi i przeznaczona do książki.

Oddział V. Dziejopisarstwo: a) *Dzieje Wilna*—p. Adama Kirkor; b) *Dzieje Litwy:* pod względem etnograficznym—p. Jan Karłowicz; pod względem historycznym—panna Konstancya Skirmuntówna. Obie prace już nadesłane. c) Inne prace. Rubryka ta nie jest jeszcze zajętą; łączy się ona poniekąd z oddziałem X.

Oddział VI. Podróże: po kraju—pan Bądzkiewicz; *Kartki z podróży*—p. Władysław Kulczycki.

Oddział VII. Krytyka literacka, w szczególności *Studya i nowe studya literackie.* P. Roman Plenkiewicz.

Oddział VIII. Prace z dziedziny artystycznej (sztuk plastycznych)—p. Wojciech Gerson. Prace z dziedziny archeologicznej — p. Józef Łepkowski.

Oddział IX. Publicystyka. a) *Ateneum* wileńskie—p. Włodzimierz Spasowicz; b) *Gazeta Polska*—p. Edward Sulicki; c) redakcya innych czasopism oraz współpracownictwo w czasopismach.—Rubryka jeszcze nie powierzona.

Oddział X. Wydawnictwo literackie. Do tego działu przygotowuje pan Kaz. Wł. Wójcicki rozbiór *projektu Słownika starożytności polskich*, a pan Plebański złożył już rzecz *O Pamiętnikach* historycznych wydanych przez *J. I. Kraszewskiego.*

Oddział XI. Drukarstwo i edytorstwo. Jeszcze nie powierzony.

Dział III. Bibliografia. Pracy w tym dziale podjął się p. Hipolit Skimborowicz.

Dział IV. Artykuły odosobnione.

Do tego działu nadesłali już prace swoje:

1. Pan Gloger Jan: *Szkoły bialskie i cztero-*(tak)*-letni w nich pobyt J. I. Kraszewskiego.*
2. P. Kraushar Alexander: *Żydzi w utworach Kraszewskiego.*
3. *O wpływie Kraszewskiego na wyobrażenia społeczne Białej Rusi.*
4. Pan Zacharyasiewicz Jan: *Kobiety Kraszewskiego.*

Z powyższego spisu widzimy, że wyjąwszy trzy rubryki mniejszego znaczenia, wszystkie inne znalazły już dla siebie pracowników. Ilość dostarczonych artykułów wynosi dopiero jedną trzecią ogólnej liczby; ale gdy teraz właśnie z końcem Grudnia upływa termin do składania prac, przeto większość piszących nad wykończeniem ich pracuje.

Odczytanie powyższego spisu wskazuje również jak zajmującą będzie książka o Kraszewskim, jak nawet ważną być może dla przyszłego historyka literatury. Ważność ta w dwóch działach szczególniej objawić się będzie mogła: w biograficznym i bibliograficznym, oczywiście tylko w granicach możliwości zewnętrznej, to jest o tyle, o ile oba te działy w druku ujmy nie doznają.

Materyały do biografii człowieka zbierać się powinny za jego życia, bo wtedy stoją pod kontrolą samej osobistości opisowi poddanej. Jedynie tylko takie fakta, o których za życia niewszyscy wiedzieć mogą: mianowicie to, co dokonywając się nie miało jawności, a w szczególności wszystko, co historyę uczuć i namiętności stanowi — o ile w potomności żyć mający wielki człowiek sam nie poszedł śladem Kardanusa lub Jana Jakóba—jedynie tylko takie fakta dla badań przyszłych pozostawiać należy. Wszystkie zaś inne dane, a osobliwie koleje samego zawodu literackiego, powinny być już za życia człowieka zebrane i pieczęcią prawdy ostemplowane. A że pierwszem źródłem wiadomości o człowieku jest sam człowiek, przeto pierwszym materyałem do biografii wszelkiej jest autobiografia. Jakże cenną byłaby dla nas autobiografia Kraszewskiego!—pełniejsza, wytrawniejsza, doskonalsza od wiązki wspomnień w każdym razie cennych, w *Obrazach z życia i podróży.*

Codo drugiego punktu, t. j. bibliografii, powtarzamy to, cośmy już w poprzedniej wzmiance (N. 18 *Bl.*) powiedzieli. Dział bibliograficzny powinien objąć nietylko druki osobne, ale i wszystko to, co się ukazało kiedykolwiek w czasopismach. Szczęśliwsi, bo pracowitsi, od nas, Niemcy, jednej choćby literki z prac literackich i listów Goethego i Schillera, nawet i niżej od nich stojących, jak np. Herdera, nie uronili. Wszystko mają nietylko spisane, ale z wyjątkiem listów, jakie jeszcze znaleźć się mogą, ogłoszone drukiem. Nawet daty napisania, o ile wykrytemi być mogły, znajdują się w wydaniach doskonałych. Ztąd biograf i historyk literatury nie potrzebuje czasu marnować na rzeczy czysto-administracyjne, jaką jest bibliografia—zajęcie urzędnicze raczej niż literackie. Kiedyś, gdy budżety państw cywilizowanych oświatę z większą miłością i hojnością niż wojsko traktować będą, każde ministeryum oświaty będzie miało osobną sekcyę bibliograficzną, i ta, zastępując pracę jednego człowieka pracą zbiorową, a dowolność—obowiązkiem państwowym, bibliografię najdokładniejszą, jaką wyobrazić sobie można, bieżącą nieprzerwanie, z każdą nową książką, z każdym nowym artykułem, prowadzić będzie. Głośniejsze nazwiska posiądą niewątpliwie ten przywilej, że nietylko ich książki, ale i prace w czasopismach wchodzić będą na regestra bibliografii.

Tymczasem wszakże w historyi prac Kraszewskiego musimy poprzestać na tem, co nam da, biegły w bibliografii, Dr. Hipolit Skimborowicz, na podstawie dzieła p. Estreichera i własnych wiadomości. Dotychczas jeszcze nie wiemy: czy komitet redakcyjny poszedł za wskazówkami tu podanemi, t. j. czy zawezwał redakcye pism polskich istniejących do dostarczenia spisu prac Kraszewskiego, a spisanie ich z nieistniejących już poruczył ludziom mogącym mieć do pism tych przystęp?—ale bez takiego urządzenia książka zbiorowa nie będzie miała bibliografii, jakiej spodziewać się po niej należy. A powtarzamy, że najważniejszym dla przyszłości będzie obok działu biograficznego,—bibliograficzny.

S. K.

Przegląd bieżącej literatury francuzkiej.

LITERATURA NADOBNA.

I.

(Dokończenie).

Postanowienie Jana Têtérola (L'idée de Jean Têtérol) przez Wiktora Cherbulliez'a, jest drugiem z porządku dziełem, o którem kilka słów więcej niż o innych należy powiedzieć. Oto treść powieści. Jan Têtérol, ogrodniczek ośmnastoletni, z powodu błahej jakiejś przyczyny zostaje wypędzonym przez swojego pana, nazwiskiem de Saligneux. Têterol, pod skromną bluzą ogrodnika jest bardzo obraźliwym, pełnym miłości własnej i mściwym. Rozstaje się zatem z p. de Saligneux, poprzysięgając mu zemstę. Zniewaga i ambicya prowadzą go do Paryża, gdzie się żeni, dorabia się ogromnej fortuny na budowaniu domów i ma syna, na którym pokłada wszystkie swe nadzieje.

Mija lat trzydzieści. Szczęśliwy dorobkowicz wraca w rodzinne swe strony, — wraca, aby dopełnić swej zemsty. „Têtérol, powiada autor, całą swą historyę nosił wypisaną na twarzy. Mały, krępy, przysadzisty, o szerokich plecach, odziany zawsze grubem, prostem suknem; miliony nie zmieniły wcale jego powierzchowności chłopskiej; wielka głowa tęgo była osadzoną na szerokich plecach, a brwi się szorstko jeżyły. Oko błękitne stalowego połysku wyrażało rozum i wolę, a w gniewie straszliwie błyskało. „Zmarszczki na czole, układ, sposób chodzenia— wszystko to zdradzało dumę bez zuchwalstwa, ale nieubłaganą w potrzebie i która zapowiadała zdaleka przechodniom: Patrzcie, oto, ja jestem! Dosyć było widzieć tego pyszałka przechodzącego ulicą, aby odgadnąć w nim człowieka, który się podniósł z nizkiego stanu i utorował sobie drogę przez tłum, rozpierając go łokciami; człowieka wojowniczego i bitnego, który właśnie wygrał bitwę. Jak wielką była jego fortuna? nikt o tem nie wiedział oprócz jego samego".

Takim-to Têtérol wrócił w rodzinne swe strony; ale, niestety! zemsta z rąk mu się wyślizgnęła, bo p. de Saligneux już nie żył... Pozostał przecież jego zamek z owym ogrodem, gdzie... a w tym zamku mieszkał syn, nawpół zruinowany paryzki hulaka, ojciec ślicznej i młodej córki. Zamiary zemsty Têtérola zmieniają się, niestudząc pierwotnego zapału. Ten dorobkowicz postanawia ożenić syna swojego z córką pana de Saligneux. Wszystko się składa według żądania starego sknery. Syn kocha się już w pannie, a ta dość przychylnie przyjmuje hołdy młodego Paryżanina; ale, dowiedziawszy się ubocznie, że ten związek jest tylko wynikiem zawartej najprzód umowy pieniężnej pomiędzy jej ojcem, zawsze w potrzebie będącym, a starym Têtérolem opływającym w dostatek—panna stanowczo odmawia... Nie mogę tu wypisywać wszystkich zajmujących szczegółów tego polowania na pannę, odbywanego przez pałającego zemstą starego Têtérola. Wszystko kończy się szczęśliwie, to jest weselem syna ex-ogrodnika z córką „Jasnego Pana" de Saligneux.

Bez żadnych politycznych lub społecznych tendencyj, rysowana jakby z natury, powieść p. Cherbulliez'a ma wdzięk, prostotę i spokój, tak rzadko spotykać się dający w dzisiejszych powieściach, z których zazwyczaj wydobywa się jakby morowe

zaraza zepsucia, ten, naprzód powzięty, zamiar, aby wszystko zbrudzić, wlokąc się w mętnym rynsztoku naciąganego realizmu.

Narobiło tu niemałego hałasu w świecie artystycznym ukazanie się książki, która przecież jest tylko odbitką pracy, ogłaszanej w ostatnich numerach *Revue des deux mondes*, pod tytułem: *Le Roman d'un Peintre*, jakby się mówiło po polsku: „Historya malarza". Najlepszem ocenieniem tej książki i tej zawieruchy, jaką ona wywołała pomiędzy artystami jej ukazanie się na świat, są słowa, które wyrzekł w jednym ze swych ostatnich listów szanowny Kraszewski, z powodu również nowej książki francuzkiej p. de Lacretelle'a, pod tyt. *Lamartine et ses Amis*. „Nic bardziej poszanowania nie jest godnem—powiada on, nad uczucie serdecznego przywiązania i uwielbienia dla... kogokolwiekbądź, lecz przywiązanie i uwielbienie powinny umieć się objawiać. Najlepszym środkiem umniejszenia kogoś jest nazbyt go wysadzić do góry"... Święte słowa prawdy—i oto zaraz znajdują swoje poparcie w tem wrażeniu, jakie wywarła na publiczności książka pochwalna p. Ferdynanda Fabre'a, o której mówimy. Ta *Historya malarza* jest w rzeczy samej przesadzoną apoteozą jednego z tutejszych młodych malarzy p. Jana Pawła Laurens'a. Zapewne, że to jest artysta pełen talentu i wielkiej może przyszłości. Ja sam, zdając w swoim czasie sprawę z jego pierwszych obrazów, a szczególniej z dziwnego i pełnego energii *Papieża Formoza*, oddałem mu zasłużone bez zaprzeczenia pochwały i wróżyłem wielkie nadzieje, które niezupełnie sprawdziły się przecież właśnie w jednem z ostatnich dzieł tego malarza, w jego *Śmierci generała Marceau*.

Pan Fabre, sam również malarz, a przytem bardzo utalentowany pisarz, który tak pięknie wystąpił na polu literackiem ze swą powieścią pod tyt. *Ksiądz Tigrane* (L'Abbé Tigrane), p. Fabre, powodowany zapewne uczuciem wielkiej sympatyi i przyjaźni dla autora *Papieża Formoza*, napisał, jak mówiłem, biografię młodego malarza, która, maleńka i nic nie znacząca prawie, stała się pod jego piórem prawdziwą apoteozą p. Laurensa. Wysadzić, jak mówi Kraszewski, na spiżową, ogromną kolumnę tego, który rozpoczyna dopiero rzeczywiście swój zawód, którego zdolność i sam talent rozmaicie są oceniane przez ludzi znających się na rzeczy: jest to oddać najgorszą usługę temu, kogo się przechwala w ten sposób.

Przytaczać wątpliwe, a przynajmniej trochę naciągnięte anegdotki o dziecinnych wrażeniach malarza, omdlewającego niby w galeryi Luwru przed obrazem jednego z wielkich mistrzów; porównywać go dziś już do największych malarzy Szkoły Francuzkiej: jestto jakby chcieć umyślnie wywołać umiejętną polemikę, w której cała zasługa i reputacya artysty mogą pójść na dno.

Książka przecież, napisana z talentem, ma swoją literacką wartość, a wspomniałem o niej dlatego, że być ona może niejako ostrzeżeniem dla nas, co się niewczesnym entuzyazmem tak łatwo rozpalamy i chcielibyśmy zaraz między aniołami posadzić człowieka, który nam przypadł do serca, albo do myśli.

—*A.*—

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Makbeth. — Tragedya Szekspira, w przekładzie Paszkowskiego, przedstawiona w Teatrze Wielkim w dniu 4 Grudnia 1878 r.

O samej tragedyi, jednym z najpiękniejszych utworów Shakespeare'a, mówiliśmy już szerzej z powodu wystąpień gościnnych Ernesta Rossi na naszej scenie i w tejże samej tragedyi.

Teatr nasz, po długiej przerwie, zajął się znowu Shakespare'm, rozumiejąc doskonale, że nadaje on repertoarowi podniosłość i powagę, a zarazem wiedząc, że długie przerwy wogóle w tragedyi, nie wychodzą na dobre artystom, którzy zwolna, ale widocznie, tracą wszelkie poczucie żywiołu tragicznego.

Byliśmy też w wielkiej obawie codo Macbetha, lękaliśmy się o brak sił odpowiednich do obsadzenia całości, a także wątpiliśmy, czy tych kilku artystów przeznaczonych do tragedyi, w tak długiem odstrychnięciu od Shakespare'a, odnajdzie się odrazu w tej odrębnej koturnowej atmosferze.

Przyznać trzeba, że staranność Reżyseryi ujawniła się zwycięzko, nietylko w samym układzie scenicznym, zastosowanym prawdopodobnie do układu Rossi'ego—ale i w obsadzie ról niby podrzędnych a jednak ważnych, które dotychczas powierzano zwykle najlichszym siłom artystycznym.

Tym razem niewahał się p. Szymanowski podjąć trudnej choć niewielkiej roli czarownicy; a sam p. Tatarkiewicz będący reżyserem,—najzupełniej podrzędnej roli. „Dla dobra sztuki" stawać się więc na prawdę zaczyna hasłem przewodnictwa, a nie jak było dotąd, czczą tylko deklamacyą. Wprawdzie, nicby nie było szkodziło, gdyby niektóre nasze artystki nie odpychały ze wstrętem, nieponętnych ról czarownic, lecz może być, że zczasem i to przyjdzie, że zczasem ta lub owa artystka więcej będzie dbała o uwydatnienie swej roli, aniżeli o swój wygląd urodziwy.

Naturalnie i przedewszystkiem, o dwóch tu tylko rolach głównych, mówić można, o Makbecie i żonie jego: lady Makbeth.

Pierwszą zwykł był grywać Dawizon, Salvini i Rossi; drugą pani Ristori—nawet na warszawskiej scenie. Pan Leszczyński jako Makbeth, miał do zwalczenia mimowolne a nader świeże przypomnienia Rossi'ego w tej roli, lecz ta właśnie odwaga liczy mu się za zasługę, bo śmiesznem i niesprawiedliwem byłoby twierdzenie, że nie godzi się powtarzać sztuk, grywanych przez wielkich artystów.

Nasz teatr ma swoje cele i potrzeby. Ogół publiczności, pragnie zapoznać się z arcydziełami w swojej a nie w obcej mowie: zatem przypomnienia gry Rossi'ego muszą być zaliczone do kategoryi uprzedzeń.

Sam zaś pan Leszczyński, widocznie chciał je zwalczyć pomysłami własnemi, nic a nic nieprzypominającemi znakomitego poprzednika. I to mu pochwalić-by należało, o ile pomysły własne, miały oprócz oryginalności, zaletę wartości rzeczywistej; w przeciwnym razie, niepotrzebnym a uciążliwym stały się wysiłkiem.

Istotnie trudno nam scharakteryzować ogólne pojęcie p. Leszczyńskiego o swej roli, z tej prostej przyczyny, że choć gra jego starała się być jednolitą, jednak w samym ciągu, rozłamywała się i rozszczepiała różnostronnie. To zrozumiał pan Leszczyński dobrze, że Makbet nie jest człowiekiem inicyatywy, że mając aspiracye ambicyj i wielkości, drży jednak przed swojem sumieniem, waha się i nie przekroczyłby nigdy ostatniej granicy, dzielącej uczciwość od zbrodni, honor od sromoty, gdyby nie.... podszept nieubłaganej a zupełnie inicyatywnej lady Makbeth. Zrozumienie to uwydatniał konsekwentnie, lecz obdarzając Makbeta skrupułami i trwogą płynącą z tychże skrupułów, zapomniał całkiem, że ten Makbet jest jeszcze rycerzem i jednym z pierwszych magnatów państwa, który włożywszy sobie nareszcie gwałtem koronę na głowę, może ją już nosić jak król i jak władca. Dwa te odcienie: rycerskości i poczucia władzy, chociaż strugami krwi zdobytej, wynoszą postać Makbetha ponad pospolitych zbrodniarzy, w najbardziej nawet zbrodniczych chwilach, nadając mu piętno niezaprzeczonej wielkości. Jest on tchórzliwym jedynie wobec własnego sumienia, które mu ukazuje duchy pomordowanych, ale i tu przerażenie jego i szał trwogi, niepowinny mieć w sobie nic bandyckiego i zwykłego.

Właśnie ta ciągła trwoga i ta konieczność hartowania się w owych zbrodniach, a raczej brnięcia w coraz innych, dla ustalenia się na tronie i dla wynagrodzenia sobie przebytych męk piekielnych, ma w sobie coś z fatalizmu greckiego, posępnego i strasznego jak przeznaczenie, nieubłagane dla tych, którzy go zwalczyć nie umieją wytężeniem własnej woli.

Dlatego-to właśnie, dlatego jedynie—jeżeli artysta umie sprostać tym delikatnym a jednak niezmiernie charakterystycznym odcieniom, wydobędzie on z serc słuchaczy, współczucie i litość dla swego Makbeta, a przecież te właśnie uczucia wywołać, jest jednem z zadań tragedyi. Przykro nam czynić porównania, ale Makbet naprzykład w grze Rossi'ego budził sympatyę i żal, i nawet wtedy, gdy już padł zasłużenie, chciało się jeszcze szukać przyczyn łagodzących, postać zaś jego pozostawała w pamięci, w jakiejś aureoli dziko-poetycznej i podniosłej.

W przeciwnym razie, to jest gdy artysta naliczy się z tymi odcieniami, ale trzyma się zbytnio litery, Makbet wydaje się niczem więcej jeno zbrodniarzem, z koroną na głowie, popełniającym morderstwa poprostu dlatego że tchórzy, a więc pragnie się zabezpieczyć.

Niestety! — pan Leszczyński skłonił się do tego kierunku. Grał konsekwentnie ale z gruba, szorstko i niewnikając nic a nic w ducha twórczości Shakespeare'a, który nie lubi obierać pospolitych złoczyńców, na głównych bohaterów. Shakespeare pojmuje zanadto dobrze *przyczynę pierwotną* każdego zła, i dlatego dąży naprzód z siłą niezbłaganą logiki rządzącej światem, a jeżeli zanurza się w przepaściach najskrytszych serca, to dlatego ażeby wydobyć z niego krzyk, który jest prawdziwem wstrząśnieniem moralnem, chociaż jemu o moralność w tuzinkowem znaczeniu tego słowa, bynajmniej nie chodziło.

Przytem, w roli tej niezmiernie trudnej, jeżeli ma nam dać prawdziwą postać Makbeta, potrzeba posiąść już znamienite wyrobienie głosu i niemniejszą technikę ruchów, jako też gry twarzy.

Głos Makbeta, który przybiera wszystkie a wszystkie modulacye; szept cichy, złowieszczy mordercy po dokonanej zbrodni, krzyk fałszywego zapału, podejmującego się w obec całego dworu pomsty zabitego, jęk przerażenia na widok duchów, huczenie gromu w scenie powtórnego widzenia czarownic i nareszcie ryk lwa, który zraniony, jeszcze poddać się niechce: ileż tu zmian trudnych, wymagających głosu wypróbowanego potężnem doświadczonem, pracą niezmienną lat wielu!

Pan Leszczyński posiadający bardzo piękny organ głosowy— nie wyrobił głosu jednak dotąd należycie, a co gorzej, doszedł prez beztroskę zbyt lekkomyślną, do fałszywych pojęć o jego zastosowaniu. Nie zna on tonów pośrednich, tego prawdziwego bogactwa w oddawaniu rozlicznych uczuć—nie zna półtonów, zna tylko szept, którego trudno dosłyszeć z dalszych ławek, i podniesienie głosu gardłowe—potężne, ale rażące. Ztąd pochodzi, że fałszywie rzekłbym, uderzając w skalę, nieprzewiduje wrażeń odpowiednich sytuacyi. Głos też ten rozłamuje bardzo często, oddzielając całkowicie od myśli, lub nadaje mu siłę tam, gdzie jej nie trzeba było użyć, a każe mu cichnąć tam, gdzie spadek powinien się był kończyć krzykiem. Tak np. w scenie, gdy wychodzi na ostatnią walkę, zaczął pięknym, męzkim okrzykiem, a skończył zagrzewając do walki cicho, niewywołując żadnego wrażenia. Powtarzamy: wielka szkoda!—bo p. Leszczyński gdyby pracował, podołałby zadaniu przy niezwykłych zasobach, jakie posiada z natury.

Kilka scen wszakże odtworzył pięknie—zwłaszcza tę, gdy wraz z innymi po zabiciu Dunkana, woła: „I ja też". Tu odnalazł prawdę: dlaczegoż przygotowaniem się długiem, mozolnem wprawdzie ale opłacającem się wdzięcznie, nie chce na zawsze przy niej pozostać?

Pan Leszczyński jestdziś właściwie jedynym bohaterem tragicznym warszawskiej sceny; na jego barkach mógłby spocząć w znacznej części repertoar Szekspirowski, gdyby sobie raz zechciał powiedzieć: że czas pierwszych prób, prób młodości, już minął, że potrzeba gwałtem uczynić metamorfozę ze swym głosem, z ruchami i wogóle z wyrabianiem ról tego rodzaju. Wyrabianie to nie polega przecie na wyuczaniu się tylko na pamięć i liczeniu na natchnienie, w złem jego znaczeniu. Kto posiada taki rzeczywisty talent jak pan Leszczyński, i kto tak jak on może zawsze liczyć na poparcie i wdzięczność publiczności, dla tego nigdy nie jest zapóźno. W każdym atoli razie, chwali mu się praca sumienna w tej roli, i samo już podjęcie się nanowo—ról Szekspirowskich.

Niezwykle zadziwiła pani Rakiewiczowa jako lady Makbeth, nie żebyśmy jej nieznali już oddawna jako utalentowanej artystki, ale że tym razem, szczególnie przejęła się swą rolą i bardzo dobrze ją zrozumiała. Namowa męża do porzucenia reszty skrupułów, jej dzika ambicya owładnięcia

tronem, choćby po stosach trupów, oddaną była silnie i wzruszająco, niemniej dalsze sceny wszystkie, aż do sławnej sceny mycia rąk, która wyszła słabo w stosunku do poprzednich, i w której znać było trochę komedyanctwa.

Jest to scena niezmiernie trudna, niby analogiczna z szaleństwem innych bohaterek Szekspira, a przecież różniąca się od nich, podstawowemi elementami. W somnambulizmie lady Makbeth jest cierpienie zdręczonego sumienia i popędliwej rozpaczą, bez ratunku duszy;—przypominając sobie główny moment przełomu swego życia z cnotliwego na zbrodnicze, to jest chwilę zamordowania Dunkana, przypomina zarazem słowa naówczas wyrzeczone do męża. I właśnie w tej opowieści traktowanej epizodycznie—cała trudność. Zgroza zdająca sobie najprzytomniej sprawę—boć jest to sen odbijający najwierniej doznawane na jawie wrażenia — powinna przerażać i wzbudzać litość nad ofiarą, dlatego ruch ten ocierania rąk ze krwi, niezmiernie tu jest potrzebnym i pomocniczym.

Pani Rakiewiczowa, niepotrzebnie bała się przesady tego ruchu, czyniąc go zbyt skąpo i zbyt niewyraźnie, a zamiast zgrozy i najwyższej rozpaczy, choć obleczonej snem, uwydatniła raczej szał *bezświadomy* zupełnie, czyli objawiający się tak, jak zwykle objawiają się słowa tych, którzy postradawszy zmysły, nic już nie pamiętają z przeszłości a więc i nic a nic nie cierpią.

Jest to ogromna różnica: lady Makbeth nie jest Ofelią, która budzi w nas litość bezpośrednią. Lady Makbeth powinna obudzić także litość, ale dopiero na skutek rozwagi. Dlatego w scenie tej nie zrobiła żadnego wrażenia, dlatego w scenie tej, tak trudnej, sławną była pani Ristori. Lecz za całość jej gry, należy się jej zasłużona pochwała. Polem pani Rakiewiczowej, nie potrzebujemy powtarzać— jest tragedya, której oddać może niemałe przysługi.

Inni zaś, jak pp. Rapacki, Kotarbiński, Prażmowski, Szymanowski, wywiązali się dobrze ze swego zadania. Wogóle całość szła poważnie, nieraźąc niczem, jak się to dawniej nieraz zdarzało. Radzilibyśmy tylko p. Prażmowskiemu, gdy donosi Macduffowi o wymordowaniu żony jego i dzieci, zwiastować mu tę bolesną nowinę trochę delikatniej, nie krzycząc tak okrutnym głosem, że mu wymordowali całą rodzinę. Inaczej przygotowanie do takiego ciosu, staje się jątrzeniem i najgrawaniem, a nie łagodzeniem.

Edward Lubowski.

RUCH MUZYCZNY.

Spokojnie i po bożemu upływa nam dotąd nasz sezon zimowy, czy raczej jesienny. Na brak „ruchu“ muzycznego uskarżać się nie można, ale ten ruch właśnie nie porywa nas za sobą, — jak to innych lat bywało, — w jakiś wir szalony, nie rozdrażnia gorączkową działalnością, nie nęci i nie rozstraja obecnością kilku w jednym dniu muzycznych festynów. Teatr nie daje wcale nowości, a mimo zaangażowania czasowego pani Jakowickiej, każe znakomitej artystce krążyć bezustannie w zaczarowanem kole oper już zużytych, jak: Łucya, Norma, Traviata i t. d. Przyjście do zdrowia pani Dowiakowskiej znów wznieca w nas nadzieję usłyszenia „Lohengrina“, jedynej istotnie przyciągającej dla Warszawy *nowości*, zapowiadanej długo, przygotowywanej pracowicie, a światłom kinkietów może długo jeszcze niedostępnej.

Koncert na rzecz biednych zostających pod opieką gminy Ewangelickiej, odbył się w Resursie Obywatelskiej w dniu 28 Listopada, przy licznym współudziale słuchaczy, których przyciągnął nietylko cel, ale i zajmująco (staraniem pp. Troszla i Gebethnera) ułożony programat. Nie będziemy wchodzili w bliższy rozbiór pojedynczych numerów, wykonanych przez znane już dobrze naszemu miastu siły artystyczne i amatorskie; zaznaczymy głównie, że talent nowo-występującej fortepianistki panny Anger, jaśniej się tu jeszcze wykazał przy wykonaniu tria Bargiela, niżeli przy odegraniu na koncercie studenckim dwóch drobniejszych utworów. Talent to sympatyczny, gra poprawna i jakkolwiek nie porywająca wielkim zapałem, wszakże nie pozbawiona pięknej expressyi i ujawniająca dobrą szkołę.

Panna Syrwidówna wykonała na tym koncercie w sposób zajmujący aryą z „Otella“, bo z akkompaniamentem harfy pana Pistora. Strona expressyjna w śpiewie panny S. ładnie jest rozwinięta, ale w *Cantabile* zarzucilibyśmy zbyt częste wjeżdżanie na ton przez crescendo, co sprawia wrażenie niemiłe, i jest zresztą nieprawidłowem.

Na wieczorze Tow. Muzycznego, odbytym w wilię dnia tego, słyszeliśmy utalentowaną amatorkę pannę Kinderfreund, podobnie jak i panna Syrwid uczennicę p. Sterlinga, a ponieważ taki talent wybija się niejako poza sferę amatorską, przeto ośmielamy się słów kilka o nim powiedzieć. Szanowna amatorka posiada niepospolitą łatwość, czystość i pewność, intonacyą wyborną, mechanizm dość rozwinięty pod względem zwykłych gamm i passażów, staje się prawdziwie zdumiewającym przy staccatach, wykonanych w szybkiem nawet tempie z prawdziwie artystyczną precyzyą. Waryacye Procha, bajecznie trudne, zrobiły przy wykonaniu effekt wyborny, szczególniej właśnie w ustępach najtrudniejszych. Po tych słowach uznania niech mi wolno będzie postawić zarzut, że Andante z Łucyi traktowane było za ostro, nie w charakterze właściwym słowom, i *nie* cantabile.

Teraz przejdźmy do kwestyi innej, której, rozumie się, będę się starał jaknajkrótsze nadać rozmiary, jako dla czytelników mniej zajmującej. Sprawozdawca *Kłosów*, p. Stattler, stojąc „na straży“, jak pisze, muzykalnej prawdy w *Kłosach*, powstaje przeciw krytyce, jaką zamieściłem w N. 45 *Bluszczu* o *Kursie harmonii* pp. Żeleńskiego i Roguskiego. Jakkolwiek szanowny sprawozdawca oświadcza apodyktycznie, że „prostuje“ błędy naukowe, sądzę jednak, że w tej materyi pomówić jeszcze warto, i to nie tak krótko, jak to uczynił pan S. Być może, że taką dyskussyę kiedyś będziemy mieli sposobność wznowić w specyalnem muzycznem piśmie—tu ogranicza się na kilku tylko uwagach.

Codo wyprowadzenia praw harmonii z praw akustyki, tyle powiemy: Fenomena akustyczne, jakkolwiek są podstawą dźwięków, są jednak zbyt skomplikowane, aby z nich muzyczna logika akkordów wynikać miała. Wiadomo, że całość kombinacyj akkordowych, ułożonych podług ścisłych praw akustycznych, jest nawet niemożliwą w praktyce, i ztąd powstało w niektórych instrumentach strojenie zwane *temperowanem*. Podobnież anormalnem jest istnienie septymowego przytonu (b) w drganiach pojedynczej struny (anormalnem *harmonicznie*). Użycie więc praw akustyki w *kursie* harmonii uważałbym za tyle pożyteczne, o *ile*-by one rozjaśniały prawa tonacyi, *o ile-by dźwięki (przytony) objawiające się przy drganiach akustycznych jednej struny, dawały same z siebie gammę naturalną*. Tymczasem tę gammę wyprowadzać tu musimy niejako sztucznie z brzmienia *niektórych tylko przytonów* aż *trzech strun* (c, f, g).

Codo odległości sekundy zwiększonej w trybie minorowym (między 6 i 7-m stopniem gammy), tej użycie zapewne nie jest wygodne i ograniczyć je należy; lecz sądzę, że zupełnie go zabronić niepodobna, np. przy przejściu z 6-go stopnia na 5-ty (f c d a, e e gis h). Dla tego też w konserwatoryum paryzkiem, w klassie ś. p. professora Bazin'a, na tej zasadzie używać nam było wolno tego interwallu. Tenże sam Bazin bardzo słusznie znów *nie pozwala* schodzić na dół czterema głosami, co jest istotnie niezgrabne, choćby nawet w jakimś razie wyjątkowym, np. przy chromatycznem poruszeniu basu, lub dla uniknienia innego większego błędu, było usprawiedliwione. (W przykładzie jednak przez szanownego sprawozdawcę przytoczonym, nie mogłem dobrze zrozumieć: dla czego głosy wszystkie mają na dół schodzić? wszak bas zamiast na dół, może iść do góry?) Wiele rzeczy w pochodzie akkordów się dozwala jako *malum necessarium*, gdy już inaczej nie można (np. dublowanie bassu w sopranowej partyi, w akkordach sextowych), wszakże zasadnicze prawa *dla uczących się* surowe być powinny, i ten tylko dobrze pisać i swobodnie bujać kiedyś potrafi, kto się do surowej i prostej formy przyzwyczaił.

Żałujemy, że szanowny sprawozdawca z artykułu naszego, dość długiego, dał tylko tych kilka wyjątków; żałujemy, że uważał za stosowne „pominąć wiele zarzutów, mylnie wytykających błędy“. Sądzę, że w rzeczach krytyki, lepiej rzecz *rozebrać*, niż pominąć, bo nie aforyzmami krytyka rzecz rozjaśnia, ale *dowodzeniami*. Lecz to rzecz jeszcze do zrobienia: *proszę* o dalsze zarzuty, a chętnie na nie odpowiem.

Jan Kleczyński.

NOWINY PARYZKIE.

Wystawa powszechna.

V.

Paryż 4 Grudnia 1878 r.

W przeszłym liście, mówiąc o Wystawie urządzonej przez zakład Hachette'a, starałem się wskazać, do jakiego stopnia pomyślności dojść może księgarnia, założona daleko później od wielu innych, pod dyrekcyą ludzi intelligentnych, rozumiejących swój wiek, dokładających wszelkich starań, aby wymaganiom jego zadośćuczynić. Dziś znajdujemy się wobec zakładu, którego firma, znana na świecie całym, liczy dwa wieki istnienia pełnego świetności i kilka pokoleń najznakomitszych we Francyi wydawców, wyszłych jakby z jednego gniazda. Mówię tu o zakładzie Firmin Didot.

W roku przeszłym, z powodu śmierci szanownego Ambrożego Firmina Didota, jakby ostatniego patryarchy tego zakładu, patryarchy z talentu i z wieku, dałem obszerne szczegóły o tem pokoleniu znakomitych wydawców-drukarzy: nie będę więc tu powtarzał tego, com powiedział był o ważnych, o wielkich zasługach tego domu, w sprawie oświaty a zatem postępu - przejdę wprost do rozpatrzenia głównych okazów, które zawdzięczamy temu zakładowi.

Dzisiejsi następcy Ambrożego Didota, wtajemniczeni oddawna we wszystkie potrzeby i wymagania przemysłu księgarskiego, we wszystkie sposoby, jakiemi się posługuje sztuka wydawnicza, powiernicy myśli i zamiarów ostatniej głowy tego zakładu—są widocznie przygotowani zupełnie do tego aby godnie odpowiedzieć swemu powołaniu. Nie potrzebujemy innego dowodu nad tę wystawę, przed którą tyle się ludzi najznakomitszych w świecie zatrzymywało z równym naszemu zachwytem.

Pomiędzy wydaniami, które składały wystawę, jedne były już ostatecznie wykonane pod dyrekcyą nieboszczyka Ambrożego, inne rozpoczęte dawniej jeszcze, kończą się, albo ciągną dalej w obecnej chwili.—Taką jest naprzykład *Biblioteka grecko-łacińska* (65 tomów już wyszło), dzieło erudycyi rzeczywiście olbrzymiej, powierzone uczonym niemieckim i francuzkim, najznakomitszym w tym względzie; zawiera ono ułamki dotąd niedrukowane, owoc długich i mozolnych poszukiwań, a których text starannie i pilnie został sprawdzony w bibliotekach: Watykańskiej, Eskuryalskiej i t. d. Dzięki doskonałym tłómaczeniom łacińskim, umieszczonym obok textu; dzięki jak najpełniejszym wskaźnikom; dzięki połączeniu w jeden tom rzeczy, któreby wymagały siedmiu lub ośmiu tomów zwyczajnego druku—dzięki temu wszystkiemu razem, niéma na świecie edycyi dogodniejszej do czynienia poszukiwań, do pracy choćby najpoważniejszej.

Zaraz obok tej *Biblioteki*, znajdujemy *Bibliotekę łacińską* z tłómaczeniem francuzkiem, wykonanem przez najlepszych pisarzów, a nakoniec *Bibliotekę francuzkich pisarzów;* ogromny zbiór, w trzech oddziałach, wszystkiego, cokolwiek się odznacza czystością języka, poprawnością stylu albo ważnością myśli.

Do tych Bibliotek greckiej i łacińskiej, jako nieodłączny dodatek potrzeba dorzucić: 1) sławny *Dykcyonarz* Henryka Etienne'a: *Thesaurus grec-*

cae-linguae, dzieło dziś przejrzane w zupełności, pomnożone ważnymi przyczynkami i ułożone alfabetycznym sposobem—olbrzymi zbiór wiadomości, niezbędnych dziś dla każdego filologa; 2) Du Cange'a: *Glossarium mediae et infimae latinitatis*, i 3) wielki *Dykcyonarz łaciński Freunda*, z doskonałem tłómaczeniem francuzkiem; wreszcie Dykcyonarze: angielski, arabski, egipski, chiński i t. d. nakoniec *Dykcyonarz Akademii francuzkiej*, oraz *Dykcyonarz historyczny języka francuzkiego*, również opracowany przez Akademię, przerwany niestety! na pierwszym zeszycie II tomu, którego ostatnim wyrazem jest *Affaire*.

Dykcyonarze zresztą wszelkiego rodzaju wielką dziś odgrywają rolę, jako pomocnicze i konieczne narzędzia pracy. Akademia Sztuk Pięknych wydaje zbiór wyrazów, używanych w nauce, w praktyce i w historyi sztuk pięknych—objaśniony mnóstwem drzeworytów umieszczonych w texcie i pięknemi rycinami na stali. Znakomity architekt, niejaki p. Bose, wydaje również *Rozumowany dykcyonarz architektury*, dzieło niezmiernie użyteczne i ważne, które dopełniają 4,000 drzeworytów, 60 rycin i 40 wspaniałych chromolitografij.

Potem następuje długi szereg Encyklopedyj: *Dictionnaire de la Conversation*. -- *Nouvelle biographie générale* (46 tomów).—*L'univers pittoresque*.—*Supplément au Manuel du Libraire et de l'Amateur de livres*—„Vade mecum" nie będzie dla bibliofilów.

Po tem wszystkiem rozpoczyna się szereg: *Pamiętników* i *Korrespondencyj*.—*Dokumentów niewydanych do historyi Francyi*, z któremi łączy się *Dodatek do herbarza powszechnego Francyi;* dzieł historycznych i belletrystycznych, najlepszych pisarzów współczesnych, ozdobionych rycinami i drzeworytami. Z dzieł tegoczesnych poważniejszej treści, zasługują na uwydatnienie: *Les harmonies du som; Histoire des étoiles* p. Rambosson'a; *Człowiek i zwierzę*, dzieło w którem p. Art. Mangin, wykłada ukazywanie się stopniowe na ziemi rozmaitych gatunków zwierząt, ich stopniowe przyswajanie, i ich stosunek do człowieka; *Miłośnik ogrodów*, pp. Decaisne'a i Naudin'a; *Traktat ogólny o botanice*; wreszcie wydawnictwa peryodyczne, tyczące się: *Sztuki wojskowej*, *Myśli wstwa*, *Muzyki*, *Mód* i tam dalej.

Ale śpieszno mi już przejść do wydawnictwa dzieł illustrowanych, które tak wiele się przyczyniły w ostatnich czasach do pomnożenia ustalonej już sławy zakładu Didotów i które stanowią jakby szczyt i charakterystyczną cechę ich wystawy pod względem ważności i ogromu nakładu użytego w tym celu.

Niemówiąc już o dziełach znanych dziś powszechnie, jakoto: *Joannie d'Arc*, przez pana Wallon'a (przezwanego „Ojczulkiem Rzeczypospolitej", za autorstwo konstytucyi, według której rządzi się dzisiejsza rzeczpospolita francuzka), *O Najświętszej Pannie* przez księdza Meynard'a, *O świętej Cecylii* i o *Społeczności rzymskiej w dwóch pierwszych wiekach chrześcijaństwa* przez X. opata Guéranger'a, — przejdźmy, niezatrzymując się, do wieków średnich i do epoki odrodzenia, jako do czasów najciekawszych dla historyi literatury pod względem artystycznym, literackim i pod względem zwyczajów i obyczajów.

Rzeczywiście, Wieki Średnie i czasy Odrodzenia są jedną z najciekawszych epok w historyi nowożytnej pod względem zwyczajów i obyczajów. Życie w pałacach królewskich i w zamkach panów, rycerskość, uniwersytety, nauki tajemnicze, jak: astrologia, alchemia i t. d. polowania, zabawy, ceremonie, ubiory: jakież-to niewyczerpanej obfitości źródło dla uczonego szperacza! Coza bogaty przedmiot do obrazów nauczających i malowniczych zarazem! Dodajmy do tego rzemiosła, jakoto: murarstwo, ślusarstwo, stolarstwo, drukarnie, oprawa książek — ileż tu się przedstawia materyałów! jakiej rozmaitości i wagi! Oddawna już te dwie epoki historyczne były przedmiotem poszukiwań i studyów p. Pawła Lacroix'a, znanego bardziej pod pseudonimem: „Bibliofila Jakóba". Kiedy więc zakład Didot'ów postanowił ogłosić pomniki odnoszące się do tych odległych czasów, pan Lacroix był już jakby naprzód przeznaczonym do klassyfikacyi i redakcyi tego zbioru dokumentów i źródeł. Cztery wielkie tomy, mające za tytuł: „*Sztuki, obyczaje, zwyczaje i ubiory; życie wojenne i religijne, nauki, umiejętności i sztuka*, w Średnich Wiekach i w epoce Odrodzenia" ukazały się wkrótce na świat. Te cztery tomy, w których jest prawdziwy nawał najdoskonalszych drzeworytów i wspaniale kolorowanych rycin, były i są tak poszukiwane przez publiczność, że wydanie po wydaniu następowało bez przerwy i dziś już więcej niż 80,000 egz. wypuszczonych jest na świat.

(Dokończenie nastąpi).

ODPOWIEDZI OD REDAKCYI.

Panu Henrykowi Korwinowi Kr...—Praca Buckle'a, której przekład proponujesz pan pismu naszemu do umieszczenia, od lat jedenastu już przyswojoną jest literaturze polskiej. W roku 1867 jeszcze wyszedł przekład jej na język polski, pod tytułem: *Wpływ kobiet na postęp wiedzy;* wydanie warszawskie.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu" dołącza się arkusz 17-ty powieści pod tytułem: Kłamcy.

Dla prenumeratorów „Bluszczu"

zamiast rubli srebrem 12, tylko rubli srebrem 8

DZIEŁA

KLEMENTYNY Z TAŃSKICH HOFMANOWEJ

w 12 tomach

Tom I-szy zawiera: **Wiązanie Helenki;—Druga książeczka Helenki;—Powieści moralne.**
Tom II-gi zawiera: **Powieści moralne dla starszych dzieci; —Komedyjki.**
Tom III-ci zawiera: **Wyjątki z różnych celniejszych dzieł dla młodzieży;—Encyklopedya dla panien.**
Tom IV-ty zawiera: **Powieści historyczne.**
Tom V-ty zawiera: **Opisy niektórych okolic Polski; — Wspomnienia z podróży w obce kraje;—Drezno i jego okolice;**
Tom VI-ty zawiera: **Życiorysy sławnych ludzi.**
Tom VII-my zawiera: **Pismo Ś-te Starego i Nowego zakonu;—Dzieje apostolskie.**
Tom VIII-my zawiera: **Święte niewiasty;—Pamiątka po dobrej matce.**
Tom IX-ty zawiera: **O powinnościach kobiet.**
Tom X-ty zawiera: **Karolina.**
Tom XI-sty zawiera: **Krystyna.**
Tom XII-sty zawiera: **Jan Kochanowski.**

Nabywszy na własność pewną ilość egzemplarzy powyższego dzieła, jestem w możności prenumeratorom „Bluszczu" zrobić *znaczne ustępstwo* a mianowicie:

cenę dotychczasową rs. 12, obniżyć do rs. 8, z przesyłką rs. 10.

Listy i korespondencye pieniężne uprasza się adresować do Redakcyi „Bluszczu", lub do Księgarni nakładowej Michała Glücksberga przy ulicy Nowy-Świat Nr 55.

TREŚĆ. Feliks Antoni Dupanloup, życiorys, (dalszy ciąg). — Światełka w ciemnym kraju, (nowella), przez Sygurda Wiśniowskiego, (dalszy ciąg). Jeszcze o książce jubileuszowej J. I. Kraszewskiego, przez S. K. — Przegląd bieżącej literatury francuzkiej, I. (dokończenie). — Przegląd teatralny, przez Edwarda Lubowskiego. — Ruch muzyczny, przez Jana Kleczyńskiego. — Nowiny paryzkie.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 28 Ноября 1878 года.